

Małgorzata Nowaczyk

POSZUKIWANIE PRZODKÓW



Genealogia dla każdego

Małgorzata Nowaczyk

POSZUKIWANIE PRZODKÓW

Genealogia dla każdego

Wydanie drugie,
poprawione i uzupełnione

[Kup książkę](#)

Opracowanie graficzne
KAROLINA TOLKA

Zdjęcie Autorki na okładce
MELANIE GILLIS

© Copyright by Małgorzata Nowaczyk, 2015

© Copyright by Wydawnictwo MiND, 2015

ISBN 978-83-62445-35-6

*To Jimm
for everything*

WSTĘP

MOJA DROGA DO GENEALOGII

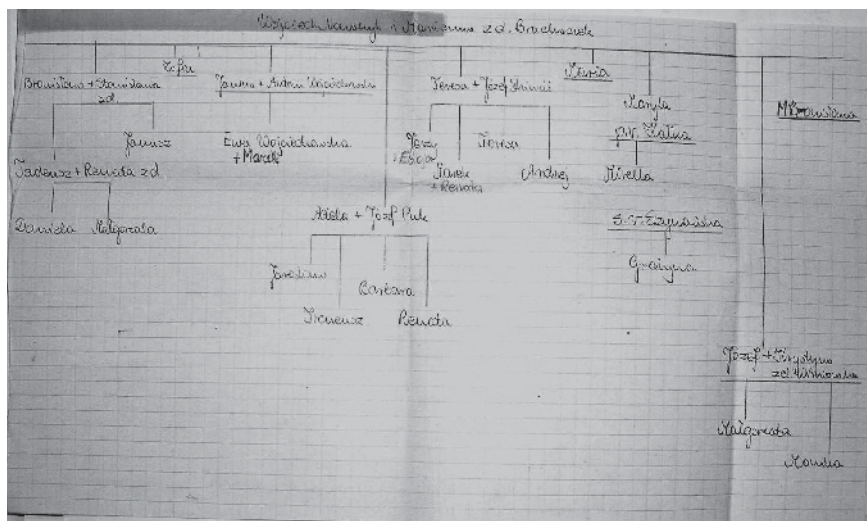
Jako prawnuczka chłopów pańszczyźnianych jeszcze niedawno uważałam, że genealogia jest domeną potomków szlachty i arystokracji. Wydawało mi się, że w historii mojej rodziny nigdy nie znajdę niczego interesującego ani przydatnego; nawet gdybym chciała coś odnaleźć, to przecież po moich przodkach nic nie zostało. Chłopskie drzewa genealogiczne, jeżeli w ogóle istnieją, są skromne i zaniedbane. Rodzice pamiętają tylko imiona swoich dziadków, o pradziadkach nikt już nic nie wie. Większość chłopskich rodzin nie zaistniała w historii ani w polityce. Nie zostawiła po sobie pomników, dworów, pałaców, ksiąg pamiątkowych ani zapisów w kronikach. Chłopi byli z reguły niepiśmienni, więc nie prowadzili żadnych pamiętników czy dzienników; nie posiadali ziemi, toteż nie ma po nich zapisów w księgach wieczystych. Byli, minęli. Poza tym gdzie szukać? Jak? Przecież to zupełnie beznadziejne przedsięwzięcie. Po co tracić czas...

Pamiętam dokładnie, co mnie skłoniło do rozpoczęcia poszukiwań genealogicznych. Powód był błahy, wynikał z mojej wrodzonej pedanterii. W grudniu 2001 roku, podczas urlopu macierzyńskiego, postanowiłam skompletować albumy z fotografiami rodzinnymi. Całe stopy współczesnych zdjęć i klisz walały się po szafach, a ja się trochę nudziłam. Gdy skończyłam układać zdjęcia w albumach dzieci i z podróży, gdy opisałam wszystkie skoroszyty z kliszami, pozostało mi w rękach pudełko ze starymi zdjęciami rodzinnymi. Zbierałam je jako dziecko – miałam wtedy małego bzika na punkcie utrwalania rodzinnej przeszłości i historii; chyba brakowało mi czegoś w ówczesnej peerelowskiej szarzyźnie. Bardzo podobały mi się stare postacie w kolorze sepii, sztywno stojące przed obiektywem w staromodnych ubraniach. I nagle okazało się, że mam kłopoty z podpisaniem tych

pieczołowicie zachowanych i wywiezionych na emigrację zdjęć – nie wiedziałam, kto na nich jest, gdzie ani kiedy były zrobione. A moje albumy miały być szczegółowo opisane piękną kursywą, miały się w nich znaleźć dokładne daty, nazwiska panieńskie i rodowe... Czułam, że przodkowie patrzą na mnie z tych zdjęć z wyrzutem, że ich nie pamiętam, że mnie nie obchodzą. To nieprawda. Przecież pierwsze drzewo genealogiczne rodziny mojego Taty narysowałam jeszcze w Polsce, gdy miałam trzynaście lat (patrz il. 1). Nie mogłam pozostawić w niebieczie tych ludzi.

Byłam w kropce. Mama i Tata mało pamiętali i choć odnaleźli imiona i nazwiska swoich dziadków, informacji miałam niewiele. Zaczęłam dzwonić do kuzynów i do innych krewnych rozrzuconych po świecie. Siostra stryjeczna z Londynu powiedziała mi, że sam dziadek niezbyt dużo wiedział o swoim ojcu, mówił nawet o nim, że „jego chyba ciotka urodziła!” (w ten sposób dowiedziałam się, po kim mój Tata odziedziczył to swoje zwariowane poczucie humoru – dodatkowy pożytek z prac genealogicznych). Myślałam, że to koniec moich poszukiwań. Nie wiedziałam, skąd wziąć dane o przodkach, o ich życiu, datach urodzenia, małżeństw, śmierci; gdzie szukać dokumentów (przecież po chłopach nic się nie zachowało, prawda?). Poza tym część rodziny pochodziła z terenów wschodnich: tę gałąź od razu spisałam na straty. To przecież zupełnie głupi pomysł – pomyślałam. Porywam się z motyką na słońce...

I wtedy nastąpiły dwa wydarzenia, które odmieniły kolej rzeczy. Przeczytałam książkę kanadyjskiej pisarki Lisy Appignanesi *Losing the Dead*¹ oraz wpisałam do internetowej wyszukiwarki hasło „genealogia”.



1. Potomkowie Wojciecha i Marianny Nowaczyków. Moje pierwsze drzewo genealogiczne, lipiec 1978 roku

¹ Lisa Appignanesi, *Losing the Dead. A Family Memoir*, McArthur, Toronto 1999.

Lisa Appignanesi jest Kanadyjką polsko-żydowskiego pochodzenia. W roku 1988 pojechała do Polski, by poszukać śladów swojego wujka oraz innych krewnych zamordowanych podczas II wojny światowej. Opisała między innymi, jak w Urzędzie Stanu Cywilnego w Łodzi otrzymała odpis aktu zgonu swojej babci, która zmarła w roku 1948. Dopiero z tego aktu zgonu dowiedziała się, gdzie i kiedy ta babcia się urodziła oraz jak nazywał się pradziadek². Zaraz, zaraz – pomyślałam. To znaczy, że w aktach zgonu spisanych po II wojnie światowej podawano imiona rodziców zmarłej osoby... Jeżeli ona może, to ja też! Listy do pięciu urzędów stanu cywilnego w Polsce wysłałam następnego dnia.

Natchnienia i drugiego bodźca do poszukiwań dostarczył mi Internet. Z lawiny informacji oraz danych wydedukowałam, że Amerykanie polskiego pochodzenia od lat skutecznie szukają swoich przodków w Polsce i innych krajach Europy Środkowej. Wielu może się pochwalić udokumentowanymi korzeniami sięgającymi końca XVIII wieku lub nawet wcześniejszego okresu. Jak to możliwe? Przecież większość z nich to potomkowie chłopów pańszczyźnianych emigrujących z powodu strasznej nędzy. Zachowały się po nich jakieś ślady? Dokumenty? Postanowiłam dowiedzieć się więcej.

Tak zaczęła się moja pasja genealogiczna. Tutaj przyznam się (lub pochwale), że mnie, osobie, która w styczniu 2002 roku nic nie wiedziała o kanonach i zasadach prac genealogicznych, udało się dotrzeć do przodków urodzonych w roku 1722 w Galicji (tak, tych, których na początku spisałam na straty) oraz w roku 1729 w Wielkopolsce. A ponieważ istnieją jeszcze wcześniejsze źródła z wiosek i parafii, z których pochodzą, będę kontynuowała poszukiwania. W moim drzewie są tysiąc czterdzieści cztery osoby, z ponad połową łączą mnie więzy krwi. W roku 2014 status mojego drzewa to 1388 osób, a najstarsza gałąź sięga 1688 roku w Bieńkowicach.

Moi przodkowie pochodzą z Wielkopolski, Śląska oraz Galicji. Są wśród nich ludzie, którzy uważali się za Niemców lub Ukraińców; większość z nich to katolicy, choć znalazłam też jedną ewangeliczkę oraz grekokatolików, którzy poślubili moich krewnych. Ich akta metrykalne zapisano po łacinie, po polsku i po niemiecku. Często charakter pisma wołał o pomstę do nieba, czasami stronicę ksiąg parafialnych były poplamione, zamazane lub wyblakłe. W języku niemieckim używano kiedyś dziwnych liter, których nie rozumiałam. Pewnych danych nigdy nie odnajdę, bo księgi, w których były zapisane, w ostatnim półwieczu zaginęły lub zostały zniszczone. Jednak to, co odnalazłam, już nigdy nie przepadnie. Utrwalone i zabezpieczone na kompaktowych dyskach komputerowych oraz na kopiach papierowych zostanie przekazane moim synom; zapasowe kopie mam także w obłoku internetowym. Wszystkie dokumenty, ich kopie oraz fotografie zostały wklejone do albumów, łącznie z fotografiami cmentarzy, kościołów i wiosek. Wywód przod-

² *Ibid.*, s. 196.